ROZMAITOŚCI.

Dnia 10. Czerwca. № 23. Roku 1857.

JENERAŁA GORDONA PAMIĘTNIK

o pobycie w Polsce od r. 1651 do r. 1661.

przez

W. Łoz.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Powrót pod sztandary polskie.

Wielki chorąży koronny, Jan Sobieski, człowiek wielce okazałej i imponującej postawy, przyjął mię bardzo uprzejmie, i wypytawszy szczegółowo co do stanu armii nieprzyjacielskiej, poruczył mię opiece Suchodolskiego, starosty lityńskiego, który zaraz nazajutrz miał objąć dowództwo w Christburgu, bo sam Sobieski odjeżdżał do korpusu w Toruniu.

Nie możnaby sobie życzeć człowieka bardziej przyjacielskiego i szczodrego, jak był nowy dowódzca Polaków. Na proste słowo z mojej strony pozostawił mi wolność zupełną, a idąc za popędem swojej nieporównanej uprzejmości, pożyczył mi najlepszego konia z swojej stajni, i zaprosił raz na zawsze do swego stołu.

Pobierając prócz znacznej płacy wojennej mnogie dochody z starostwa i rozległych dóbr własnych, żył Suchodolski z książęcą wystawnością, a ugaszczał przy swoim stole cały prawie korpus oficerów. Dla mnie okazywał zawsze osobliwszą przychylność, niebardzo się też smuciłem, gdy na dwukrotne prośby Szwedów nie chciał mnie wymienić za jakiegoś pojmanego chorążego brandeburskiego, i nie myślał puścić od swego boku.

Dopiero na wyraźny rozkaz Sobieskiego musiał rozstać się ze mną i odesłać mię do armii w Toruniu; a tam nieco przykrzejsze czekały mię losy.

Przyzwyczajony do wykwintnego stołu starosty, nie mogłem oswoić się tak łatwo z skromnem jadłem wojennego jeńca. Wprawdzie i tu zamożniejsi Polacy zapraszali mię często do swoich stołów, zwyczajnie jednak musiałem przestawać na strawie reszty towarzyszów niewoli.

Pewnego razu przywołał mię do siebie wielki chorąży koronny Jan Sobieski, a po krótkiej przemowie wstępnej zażądał, abym odprzysiągł się raz na zawsze służby u luterskich Szwedów, i wstąpił do jego kompanii dragonii, stojącej załogą w Tarnowie.

Bardzo pożądaną była mi podobna propozycya, wszakże słysząc wiele o prawdziwem czy zmyślonem skąpstwie Sobieskiego, a przypominając sobie dawne łaskawe obejście się ze mną Konstantego Lubomirskiego, oświadczyłem wręcz wielkiemu chorążemu, że zobowiązany dawnemi względami domu Lubomirskich wolałbym służyć w kompanii wielkiego marszałka koronnego.

Sobieski nie obraził się tem bynajmniej, owszem posunął łaskę swoją do tego stopnia, iż sam przyrzekł się wstawić za mną u Lubomirskiego. W nagrodę zaś mojej ochoczości do służby polskiej zaprosił mię do swego stołu, i wielką odtąd okazywał mi przychylność.

Niebawem też miał sposobność zejść się z Lubomirskim i pomówić w moim interesie.

Życzliwe wstawienie się odniosło pożądany skutek, i zaraz nazajutrz musiałem w towarzystwie niejakiego Żółkiewskiego, knzyna wielkiego chorążego, odjechać do korpusu Lubomirskiego.

Zastałem Lubomirskiego w towarzystwie jakiegoś drugiego możnego szlachcica polskiego, imieniem Morsztyn. Gdy towarzyszący mi Żółkiewski wymienił moje imię, spojrzał na mnie Lubomirski przenikliwem okiem, a Morsztyn okazywał jakieś podejrzenie, bo w twarzy i w wzroku jego przebijała się jawna niechęć.

Dowiedziałem się później że on miał za sobą Szkotkę z domu Gordonów, i przezto podejrzywał prawdziwość mego imienia, które zresztą nazbyt często powtarzało się w szeregach polskich, gdyż oprócz mnie służyło w samym korpusie Lubomirskiego jeszcze dwóch innych Gordonów.

Zdaje się iż podejrzenie Morsztyna wpłynęło po części na umysł Lubomirskiego, bo zaczął mię bardzo dokładnie wybadywać i rozbierał ściśle każde moje słówko.

Jerzy Lubomirski, wówczas marszałek koronny i hetman polny, byłto pan bardzo bystrego i przenikliwego wzroku, twarzy poważnej i wyrazistej, postawy wzniosłej i imponującej, samą powierzchownością ujmował na pierwsze wejrzenie.

Nie zataiłem mu też niczego z całej mojej karyery wojskowej, a w końcu wyjechałem otwarcie z prośbą, aby mię przyjął pod swoje sztandary.

Odpowiedział mi na to, iż uczyni to z największą chęcią, nie mając jednak w owej chwili czasu pomówić ze mną obszerniej, kazał mi przysiąść się na jednym z swoich powozów prywatnych, i przydzielił mię do stołu towarzyszącej mu szlachty polskiej.

Dopiero po kilku tygodniach przywołał mię na nowo do siebie, ofiarując mi stopień chorążego w swoim nadwornym pułku piechoty.

Jako były chorąży szwedzkiej dragonii nie mogłem mimo najszczerszej chęci do służby polskiej zezwolić na przeniesienie do piechoty w tejsamej godności. Wypowiedziałem to otwarcie hetmanowi, dodając iż w takim razie pozostałoby mi raczej czekać w niewoli końca wojny, lub prosić o wymianę u Szwedów.

Lubomirski nie spodziewał się snać podobnej odpowiedzi, bo w pierwszej chwili nie wiedział sam jak sobie ze mną postąpić, i aż na poźniejszy czas odłożył stanowcze załatwienie sprawy. Nie wyszło mi to wcale na złe, owszem po kilku dniach musiałem na nowo stawić się przed oblicze hetmana, i tą razą usłyszałem już o wiele pomyślniejsze warunki. Ofiarował mi on stopień kwatermistrza armii, i przyrzekał rychły awans, bylem tylko zjednał sobie zadowolenie przełożonych.

Nie wahałem się już ani chwili przystać na taką propozycyę, zwłaszcza gdy położenie Szwedów pogorszało się corazto bardziej, i armia ich musiała walczyć z coraz dotkliwszym niedostatkiem. Prawda iż u nich cudzoziemiec wielkiego używał zachowania, i nieraz otrzymywał pierwszeństwo przed krajowcem, czego u Polaków nie można się było spodziewać, ależ za to nie spotkał się tam nigdy z taką serdeczną uprzejmością, tak szczerem wylaniem, jakie wszystka prawie szlachta polska okazywała zawsze i wszędzie obcemu przybyszowi.

Z prawdziwą i nietajoną też radością wstępowałem na nowo w służbę polską, spodziewając się w duchu o wiele pomyślniejszych niż pierwszą razą kolei.

Początek służby upoważniał do najśmielszych nadziej. Lubomirski darował mi sto talarów na uekwipowanie się, waleczny major Pniewski ofiarował mi w upominku prześlicznego wierzchowca, a rotmistrz Działyński zaopatrzył mię w nader piękne siodło i resztę rzędu konia.

Obsypany w ten sposób łaskami Polaków, zająłem moje nowe stanowisko w przybocznym pułku Lubomirskiego, idącym z nim razem do Łańcuta.

Przybyliśmy tam właśnie podczas bardzo smutnej sceny. Pochwycono w ucieczce zakładników siedmiogrodzkich, którzy aż do nadejścia okupu od Rakocego mieli bawić w Łańcucie, i goszczeni i traktowani byli z wielką uczciwością. Nie mogąc się doczekać zapowiedzianego okupu, umyślili wbrew danemu słowu szlacheckiemu ocalić się ucieczką. Na nieszczęście odkryto wcześnie zamach, i nieboracy musieli ciężko odpukotowywać za nadużycie szlachetnego zaufania. Pewien mieszczanin, który omamiony szumnemi obietnicami, podjął się zawieźć ich do ojczyzny, nie uszedł zasłużonej szubienicy, a wszyscy wiarołomni zakładnicy musieli zakuci w kajdany wysługiwać się przy najpospolitszych zatrudnieniach dworskich.

Potrzeba przyznać, iż tak głęboko poczuwali się do winy, iż żaden z znich nie śmiał się nawet użalać na tak surowe i sromotne obchodzenie się z nimi Polaków.

VIII.

Dwukrotne swatanie.

Po dwóch czy trzech tygodniach w Łańcucie otrzymałem rozkaz udać się z kapralem i sześcią dragonami do niedalekiej wsi Dąbrówki, aby starostwa libuskiego bronić od przechodów i rabunków pomniejszych oddziałów wojska.

Nie spodziewałem się nawet jak przyjemnem i korzystnem będzie dla mnie podobne stanowisko. Prócz wszelkich wygód, jakich o nic się nie troszcząc, doznawałem w mojej kwaterze, uzbierałem sobie także łatwym sposobem tak znaczną sumkę pieniędzy, iż nietylko oporządziłem się na nowo od stóp do głowy, ale nawet mogłem przyjąć sobie dwóch uzbrojonych i konnych służących.

Bo też za każde ocalenie starostwa od rabunku i przechodu żołnierzy otrzymywałem od podstarościego prócz innych hojnych upominków najmniej 20 lub 30 zł. w darze.

Obok takich korzyści uprzyjemniały mi jeszcze daleko więcej pobyt w Dąbrówce, liczne stosunki przyjazne z okoliczną szlachtą, nadewszystko zaś druga już w Polsce silna miłość wzajemna.

Kochanka moja nie była Polką. Ojciec jej imieniem Milgast przywędrował z Niemiec do Polski i dorobił się znacznego majątku w służbie starosty. Córka jego słynęła szeroko z piękności, a mówiła już wybornie po polsku.

W tym też języku wyjawialiśmy sobie wzajemne nasze uczucia, i przyrzekaliśmy sobie wierność dozgonną.

Pewnego razu podsłuchał nas ojciec, a zaprosiwszy nazajutrz kilku sąsiadów, żądał w ich przytomności, abym powtórzył moje wczorajsze oświadczenia, i otwarcie prosił o rękę córki.

Tak niespodziewane zagadnienie wprowadziło mię w wielki kłopot.

Kochałem wprawdzie szczerze piękną Katarzynę, lecz nie wyrzekłem się jeszcze owych marzeń i nadziej, które mię wypchnęły z ojczystych progów. Żeniąc się jako ubogi chorąży, potrzeba było zrobić rozbrat z całym losem, tak świetnie w przyszłości wyśnionym, a do tego nie miałem ani siły ani odwagi.

Trudno jednak było wywinąć się szczęśliwie z tak przykrego położenia. Ojciec naglił słowami corazto niecierpliwiej, córka zalewała się rzewnemi łzami, a własne serce zniewalało do przyzwolenia.

Mimo to wszystko oparłem się pokusie, a wystawiając ojcu moje niepewne w świecie stanowisko, prosiłem aby nie odrywał mnie od służby wojskowej, kiedy właśnie tak ponętne uśmiechają mi się nadzieje. Przyrzekałem za to ożenić się z piękną Katarzyną, skoro mię tylko pomyślne losy na wyższy wzniosą stopień, lub nieco stalsze zapewnią stanowisko.

Poczciwy Niemiec zgodził się na moje przedstawienia, nie zmieniając się bynajmniej w dawnej dla mnie życzliwości.

Tymczasem zaraz w kilka dni otrzymałem rozkaz wyruszyć do Tarnowa, gdzie pułk mój stanął załogą. Po czułem pożegnaniu rozstałem się z ściśnionem sercem z Katarzyną, a przyrzekłem po sto razy powrót niechybny.

Lecz jakże łatwo zapominają się podobne przyrzeczenia, zwłaszcza gdy krzyżują dalszy bieg naszych losów.

Po krótkim pobycie w Tarnowie przeniosłem się na kwaterę do pobliskiej wsi Tychowa. Umieszczono mię wraz z majorem mojej kompanii we dworze u dziedziczki, wdowy od lat kilku, imieniem Błońska.

Byłato kobieta o najwięcej 35 latach, dość jeszcze żywa i przystojna, a miała córkę jedynaczkę, dziewczę świeże i piękne jak malina.

Takie towarzystwo musiało z czasem stać się niebezpiecznem dla nas obudwóch, podeszły już nieco w leciech major rozmiłował się na prawdę w powabnej wdowie, ja mimo wcale jeszcze świeżego i żywego wspomnienia Katarzyny nie mogłem nic mieć oczu i serca na wdzięki i urodę panny Błońskiej.

I doszło do tego w krótkim czasie, że z równą tkliwością, z jaką on wzdychał do matki, ja wzdychałem do córki. Wszakże miłość jego była silniejsza od mojej, bo oświadczył się bez namysłu o rękę matki, ja zaś w żaden sposób nie mogłem się odważyć do tegosamego kroku u córki.

Na szczęście nie potrzebowałem długo bawić w Tychowie, inaczej nie uszedłbym był nigdy tych uciążliwych więzów miłosnych.

Z rozpoczęciem nowej kampanii letniej pospieszył nasz pułk na plac boju do Prus koronnych. Pochód nasz odbywał się bardzo spiesznie, tylko w Inowrocławiu zatrzymaliśmy się dwa tygodnie dla wypoczynku. Ztamtąd pospieszyliśmy do Torunia, gdzie właśnie dość smutnej dopełniano powinności.

W sam dzień naszego przyjścia do miasta tracono publicznie na rynku z wyroku sądu wojennego niejakiego majora Korfa, cudzoziemca w służbie polskiej, który będąc dowódzcą w Chełmnie, niedbałością swoją poddał miasto i całą załogę na łup nieprzyjaciół.

Mimo najwyraźniejszych rozkazów, aby za zbliżeniem się liczniejszych sił szwedzkich uchodził do Torunia, pozostał on w Chełmnie nieczynnie, aż dopóki szwedzki jenerał Würtz nie obsaczył miasta.

Wtedy zabronił mieszkańcom poukrywać swe własne skarby jako też złote i srebrne narzędzia kościelne, i bez wszelkiego oporu poddał się nieprzyjacielowi na łaskę i niełaskę. Przyczyną tego nie była zdrada, ale po prostu pijaństwo, przechodzące wszelkie granice i wyobrażenie.

Nieszczęśliwy major był niezawodnie największym pijakiem w całej armii polskiej,

w jednym dniu wypił pewnie więcej gorzałki niż inny człowiek wody w całym miesiącu, a nie było ani jednej godziny w ostatnich czasach jego życia, w której możnaby go było zastać trzeźwym.

Za pierwszem otwarciem oczu ze snu, wychylał zaraz przygotowaną naprzód flaszę wódki, a przez cały dzień dolewał wszelkiego innego trunku co niemiara.

W takim zaś stanie ciągłego zamglenia zmysłów wydawał najsprzeczniejsze rozkazy, i samochcąc popchnął się w hańbę i zgubę.

IX.

Nowy awans.

Wypocząwszy czas niejaki w Turuniu, wyruszyliśmy pod wodzą Lubomirskiego z austryackiemi posiłkami do oblężenia Grudziądza. Gdyśmy rozłożyli się już pod twierdzą, przywołał mię Lubomirski do siebie, i zapytał czy podczas mojej służby szwedzkiej nie byłem kiedy w Grudziądzu, i nie miałem sposobności poznać słabszych stron twierdzy.

Odpowiedziałem hetmanowi, iż rzeczywiście znam Grudziądz jaknajlepiej i zdaje mi się, że od bramy południowej byłoby najłatwiej przypuścić szturm do twierdzy.

Zdanie moje przypadło do przekonania tak samemu Lubomirskiemu jak też i jenerałowi austryackiemu, obadwaj podziękowali mi bardzo łaskawemi słowy, i przyrzekli stosować się ściśle podług moich informacyj.

Tymczasem zuchwały Michałko postanowił z własnego popędu przyczynić się do pomyślnego skutku oblężenia, i podjechawszy nocą pod twierdzę, próbował przekopać groble małego strumyka, który przerzynał miasto.

Nie uszło to jednak baczności Szwedów; wypadli też niespodziewanie z miasta i omal nie ujęli w niewolę samego Michałka, do którego dla tyle zuchwałych sprawek wściekłą żywili nienawiść. Odpłacił im się za to srodze śmiały przewodzca podczas głównego szturmu na twierdzę, gdzie dokazywał cudów waleczności.

Grudziądz nie mógł się trzymać długo wobec tak znacznych sił polskich, wszakże pułkownik szwedzki Puchar nie dał sobie ani mówić o kapitulacyi, i trwał w uporze, choć już armia nieprzyjacielska zajęła szturmem miasto i główniejsze fortyfikacye.

Lękając się skutków tak zatwardziałego uporu, wyłamała się większa część załogi zpod jego rozkazów, i poddała się Austryakom. Z garstką wytrwałych schronił się wtedy Puchar do małej okrągłej wieży, oddzielonej od twierdzy, i postanowił bronić się do upadłego.

Chcąc przeszkodzić niepotrzebnemu rozlewowi krwi, wysłał mię Lubomirski do niego z upomnieniem, aby samochcąc nie ściągał na siebie zbytniej zawziętości polskich żołnierzy, i poddał się na łaskę.

Puchar z trudnością przypuścił mię do wieży, i rozmawiał ze mną przez małą szparę u drzwi. Mój głos i moja powierzchowność wydały mu się znajomemi, przypomniałem mu się jako dawny żołnierz szwedzki, służący z nim razem w jednym korpusie. Na moje przedstawienia odpowiedział z zaciekłością, iż woli zginąć niż poddać się Polakom, którzy w szeregach swoich mają takich hultajów i opryszków jak Michałko.

Stając w obronie Polaków, wywołałem jeszcze większy gniew pułkownika, zaczął też łżyć wszystkich, nie omijając samego Lubomirskiego.

Obruszyło mię to do najwyzszego stopnia, a słowo po słowie wszczęła się żywa miedzy nami kłótnia, i mało co nie przyszło do tego, że pułkownik nie wypadł zza drzwi swoich, i nie zaczął ze mną walki na gołe ostrza, lubo jako parlamentarz byłem nietykalnym. Powoli ochłódł w zapalczywości, i oświadczył że podda się Austryakom, lecz Polaków nie chce widzieć na oczy.

Przedstawiałem mu na to, iż w ten sposób postąpi sobie najnierozsądniej, a narażając sobie bezpotrzebnie Polaków, nie polepszy bynajmniej swego położenia, bo bądź co bądź Austryacy wydadzą go zawsze sprzymierzeńcom.

Słowa moje nie przypadły bynajmniej do jego przekonania, owszem powiedział że właśnie na przekor mnie podda się Austryakom, co też i rzeczywiście uczynił.

Lubomirski naśmiał się do rozpuku z dziecinnego uporu starego pułkownika, a ulegając zwyczajnej swojej szlachetności, obchodził się z nim pożniej jaknajuprzejmiej, i odesłał go do Torunia wraz z resztą jeńców grudziądzkich.

Po zajęciu twierdzy wysłał mię hetman z ośmią żołnierzy w okolicę dla przysporzenia żywności.

W ciągu mojej wycieczki dowiedziałem się, iż pewien pobliski szlachcic Konopacki, zawołany rębacz i burda, pochwycił kilku naszych dezerterów, a odarłszy ich do koszuli, puścił znowu na wolność.

Nie wiem zkąd zebrała mię ochota zboczyć do niego i zażądać powrotu zagrabionych rzeczy. W towarzystwie sześciu żołnierzy przybyłem nazajutrz do jego sioła, i zsiadłem z konia przed dworem.

Wyszedł zaraz na moje powitanie chłop olbrzymiej budowy o ogromnych wąsach sięgających aż po ramiona, z szablą niewidzianych rozmiarów przy boku. Byłto sam gospodarz Konopacki, słynny szeroko w okolicy z herkulicznej siły, niezrównanej biegłości szermierczej, i zawadyactwa pierwszego rzędu.

Przyznam się że na widok tak groźnej postaci niebardzo mi przyjemnie było wyjawiać właściwy cel mego przybycia, wszakże niepodobna się już było cofnąć.

Po krótkiej tedy małoznacznej rozmowie wstępnej, w której Konopacki niezwyczajnie okazywał się grzecznym, rzekłem mu, iż przybywam z rozkazu hetmana, szukając kilku dezerterów, spotykanych w tych stronach.

Odpowiedział mi na to, iż poszukiwania moje będą nadaremne, bo w tej okolicy ani nie przyśnił się nikomu dezerter. Chcąc nie chcąc musiałem mu wreście wyjawić, iż znam dokładnie jego postępowanie z zbiegami, i zmuszony jestem żądać zwrotu zagrabionych rzeczy.

Konopacki zapłonął w pierwszej chwili srogim gniewem. Krzyknął coś z całego gardła że mię omal nie ogłuszył, a potem dobył szabli i wywijał młyńca w powietrzu jak skrzydłem wiatraka. (D. c. n.)

NOCNY JEŹDZIEC.

Przed niewielą laty pracował w biórze jednego z pierwszych adwokatów paryskich młodzieniec o najwięcej 26 latach, imieniem Anatol. Pozostawiony samemu sobie od pierwszej młodości, pozbawiony wszelkiej pomocy i opieki, utrzymywał się młody dependent mozolnie z własnej pracy, a oddając się całą duszą naukom i unikając troskliwie wszelkich złych towarzystw i rozrywek nagannych, uchodził powszechnie za wzór pilności i dobrego prowadzenia się.

Przy tylu wszakże zaletach miał on pewną głęboko wkorzenioną słabość, nie rymującą bynajmniej ani z jego spokojnym i skromnym charakterem, ani z podrzędnem w świecie stanowiskiem.

Anatol miał słabość wielkich panów, lubił konie aż do prawdziwej namiętności. Na szczęście przy szczupłych dochodach dependenta nie mogła namiętna ta skłonność zgubnych pociągać za sobą skutków, owszem wydawała się wcale niewinną i nieszkodliwą.

Największą rozkoszą, najprzyjemniejszą rozrywką i jedyną dobrowolną utratą czasu młodego dependenta była codzienna długa przechadzka po bulwarach i lasku bulońskim, gdzie do woli mógł nasycić się widokiem umiłowanych sobie stworzeń.

Z jednej z takich przechadzek zwyczajnych powrócił do domu więcej niż kiedykolwiek zachwycony i rozmarzony. Idąc do lasku bulońskiego, spotkał przy ulicy *la Paix* jeźdzca, którego koń prześliczny na pierwsze wejrzenie oczarował jego zmysły.

Bo też byłto wierzchowiec biały jak mleko, chyży i gibki jak jeleń, a tąk prześlicznie zbudowany, tak elastyczny w chodzie, tak zgrabny w ruchach, iż biedny Anatol zapomniał oczy z podziwu i zachwycenia, i gotów był przysiądz najuroczyściej iż dotąd nic piękniejszego nie widział na świecie.

Uniesiony ciekawością, postanowił pędzić za jeźdzcem choćby na koniec świata, aby dowiedzieć się o jego mieszkaniu i nazwisku. Na szczęście nie potrzebował w długim biegu wytężać sił swoich. Już na zakręcie ulicy *la Paix* wjechał jeździec do wspaniałego pałacu, ozdobionego złocistym napisem: Ambasada ...ska.

Młody dependent stał z wytrzeszczonemi oczyma i otwartą gębą tak długo u bramy pałacu, aż dopóki oddany masztalerzowi koń nie zniknął na zatyle dziedzińca. Powróciwszy potem do domu oddał się cały marzeniom, przemyśliwając jakim sposobem mógłby o tyle zbliżyć się do podziwianego rumaka, aby go własną pogłaskać ręką lub przycisnąć usta do jego śnieżnej sierci.

I odtąd nie miał spokojn ani we dnie ani w nocy; cały czas wolny przepędzał w pobliżu ambasady, a nieraz wpośród najważniejszej roboty przywidział mu się tak żywo ubóstwiany wierzchowiec, że mimowoli musiał kłaść pióro z ręki i puścić wolny bieg myślom, jednym tylko przedmiotem zajętym.

Po tysiąc razy przyrzekał i postanawiał sobie uleczyć się od tej osobliwszej słabości dla pięknego konia, silił się wybić go sobie na zawsze z głowy, i czemciś pożyteczniejszem zająć umysł. Lecz wszystko napróżno, mimo najszczerszej chęci nie mógł biedny młodzieniec dotrzymać sobie słowa, prześliczny siwek ambasadora nie dał się żadną miarą wyrugować z fantazyi.

Czatując przed bramą pałacu doczekał się nareście pewnego dnia tak gorąco upragnionej chwili, w której mógł zbliżyć się do swego ulubieńca. Stajenny ambasadora trzymał go osiodłanego na uździe, czekając przybycia pana.

Uszczęśliwiony Anatol ujrzawszy się tak blisko wspaniałego przedmiotu swego uwielbienia, nie mógł się już dłużej poskromić.

Z promieniejącą twarzą przysunął się do stajennego, i wdając się z nim w jakąś obojętną rozmowę, przybliżył się zwolna do konia, i musnął ręką po jego włosie jedwabnym. Żaden młodzieniec owiany oddechem ubóstwianej kochanki, lub dotknięty jej wonnym warkoczem nie doznałby przyjemniejszego uczucia, jak nasz Anatol w tej chwili pożądanej. Rozkoszny dreszcz przejął go na całem ciele, oko zapłonęło żywszym blaskiem, serce uderzyło spieszniejszem biciem, a gorący rumieniec oblał lica.

Biedny młodzieniec musiał wytężyć wszystkie swe siły, aby ku śmiechowi wszystkich widzów nie pochwycić konia w swoje objęcia i nie wskoczyć mu na siodło.

Od tego czasu wzmogła się jeszcze jego słabość dla szlachetnego zwierzęcia. Aby ustawicznie znajdować się w jego pobliżu, porzucił swoje dotychczasowe mieszkanie, z którem przedtem za żadne nierozłączyłby się skarby, i wynalazł sobie w sąsiedztwie ambasady mały pokoik, z oknami wychodzącemi na dziedziniec pałacu.

Wszystkie wolne chwile trawił teraz przy oknie, a wlepiając oczy w stajnię posła. zapomniał o jedzeniu i pragnieniu.

Piękny koń ambasadora wart był rzeczywiście tak gorącego uwielbienia. Byłto wierzchowiec najczystszej rasy angielskiej, zwycięzca w kilku sławnych wyścigach, nazwany „Piorunem“ dla swojej szybkości bezprzykładnej. W owym czasie miał on właśnie przy zapowiedzianych gonitwach mierzyć się z sławnym ogierem jakiegoś lorda angielskiego, a z tego powodu używał w stajni jaknajwiększych wygód i ciągłego wypoczynku.

Na przyszłych wyścigach miał dosiąść jego grzbietu jeden z najsławniejszych żokejów londyńskich, zawezwany umyślnie przez bogatego ambasadora.

Lecz na nieszczęście tuż przed samemi gonitwami zapadł Anglik w nagłą chorobę, i odmówił usług swoich.

Zawiedziony ambasador ujrzał się w największym kłopocie, bo nie takto łatwo było znaleźć człowieka, któryby w podobnym harcu zechciał i umiał dosiąść Pioruna.

Ku większemu jeszcze zmartwieniu swemu spostrzegł ambasador pewnego razu z przestrachem, iż pielęgnowany w największych wygodach rumak, wyglądał bez wszelkiej przyczyny niezmiernie znużonym i zlany był potem na całem ciele.

Poseł uniesiony gniewem, powstał surowo na służbę, obwiniając ją o niedbałość i złą wolę, lecz niepokoj i przestrach jego doszedł do wyższego jeszcze stopnia, gdy mu na to po niejakiem wahaniu oświadczył złajany mastalerz, iż nieodgadnione to znużenie spostrzega na Piorunie już od kilku tygodni, i zawsze daremnie sili się zbadać przyczynę tego osobliwszego zjawiska.

Zniepokojony ambasador każe masztalerzowi i reszcie stajennym całą noc czuwać w stajni, i mieć pilne oko na konia, aby dojść koniecznie co sprowadza go w taki stan nienaturalny.

Nazajutrz rano wszedł do niego mastalerz i zaczął opowiadać blady jak trup z przestrachu, iż o samej północy weszła do stajni jakaś postać w bieli. Oczy miała na pół przymknięte, a zdawała się raczej płynąć niż stąpać po ziemi. Nie troszcząc się bynajmniej o całą czatującą służbę, zbliżył się tajemniczy gość milcząc do ściany, gdzie wiszą rzędy końskie; zdjął z nich jeden z najwspanialszych, osiodłał Pioruna z zdumiewającą zręcznością, i pogłaskawszy go po szyi i głowie wyprowadził na dziedziniec, wskoczył na siodło, i całą prawie godzinę uganiał jak szalony po wyłożonym murawą tylnym dziedzińcu pałacu. A rzecz osobliwsza, iż tak niesforny i dziki zwyczajnie Piorun ulegał mu jak dziecko, i z takąsamą potulnością, z jaką pozwolił mu uganiać na swoim grzbiecie, dał się także poźniej rozkiełzać i rozsiodłać.

Nocny jeździec tajemniczy postawił go w dawnem miejscu w stajni, i złożywszy gorący pocałunek na jego szyi, wyszedł na dwór niemy i sztywny jak trup podniesiony z mar, i znikł gdzieś nagle za parkanem ogrodu.

Przestraszona służba spozierała w przerażeniu na całe jego postępowanie, nie śmiąc mu się ani sprzeciwić, ani jakiemkolwiek zagadnąć go słowem.

— „Zapewne zasnąłeś hultaju, a historya ta przywidziała ci się we śnie“ — zawołał ambasador, trąc sobie oczy z zdumienia.

— „Wszystka służba czuwała ze mną“ — odparł dotknięty masztalerz — „a jeśli o to

chodzi, tedy wasza excelencya może sam przekonać się na własne oczy, bo niewątpić iż tasama scena powtórzy się i dzisiejszej nocy!“

Ambasador osłupiał na taką relacyę. Cały dzień przepędził w największem rozdrażnieniu, a w nocy postanowił czuwać sam w stajni.

Zaczajony od zmierzchu wraz z całą służbą przy żłobie Pioruna, czekał napróżno do północy, miotany jaknajżywszą niecierpliwością. O północy ujrzał nagle przy blasku księżyca, jak zwolna jakaś postać w bieli wsunęła się do stajni, i osiodławszy konia zupełnie w sposób opowiedziany przez masztalerza, wyjechała na dziedziniec.

Ambasador aż oczy zapomniał z podziwu, widząc jak sztucznych obrotów dokazuje nocny jeździec, i z jaką zręcznością powoduje tak niesfornym zazwyczaj koniem. Po całogodzinnej przejażdzce wprowadził Pioruna do stajni, i rozsiodławszy go z największą troskliwością, wymknął się na dziedziniec.

Pozbawiony mowy i oddechu, wyszedł za nim Ambasador, i postępując tuż za jego tropami, zatrzymał się aż przy parkanie, a tu przerażający czekał go widok.

Nocny upior-jeździec pochwycił się rynwy od przyległej kamienicy, i szybko jak kot zaczął drapać się aż na czwarte piątro, gdzie znikł nagle przez rozwarte okno.

Długo stał ambasador przykuty zgrozą do miejsca, a zaledwie nad raniem przespawszy się kilka godzin po bezsennie strawionej nocy, ocknął się cożywo, ubrał się z największym pospiechem, i pobiegł sam do czteropiętrowej kamienicy, do której schronił się tajemniczy jeździec. Wypytawszy na prędce odźwiernego, dowiedział się iż na czwartem piętrze mieszka tylko jeden mężczyzna, dependent od adwokata, imieniem Anatol.

— „Czy jest w domu w tej chwili“ — zapytał Ambasador pospiesznie.

— „Dopiero co powrócił z bióra“ — odparł odźwierny.

Ambasador był już na schodach.

— „Samo niebo zesłało mi tego człowieka“ — szepnął sam do siebie, trąc ręce z zadowolenia — „troszczyłem się tak srodze o jeźdzca przy nadchodzących wyścigach, a tu sam mi się nawija.“

I nie zważając bynajmniej na czteropiętrową wysokość, pędził co tchu dalej po schodach, a w kilku chwilach stanął w pokoiku Anatola.

Na pierwsze wejrzenie przekonał się, że zakłopotany jego wejściem młodzieniec byłto jego nocny znajomy dzisiejszy.

Z łaskawym uśmiechem zbliżył się Ambasador do zarumienionego i niemal przestraszonego dependenta, i ozwał się z ujmującą grzecznością:

— „Przebacz pan mojemu natręctwu. Przybyłem sam do ciebie z pewną prośbą. Życzyłbym sobie abyś przy zbliżających się wyścigach konnych dosiadł mego Pioruna, i wywalczył naznaczoną nagrodę. Wynosi ona prócz chwały zwycięztwa dwadzieścia tysięcy franków w złocie, z których połowa niech będzie nagrodą pańskiego trudu.“

— „Nie wiem czem zjednałem sobie takie zaufanie u Waszej Excelencyi“ — odpowiedział zakłopotany Anatol, jąkając się przy każdem słowie. — „Zepewne zaszła tu jakaś pomyłka, bo ja będąc największym miłośnikiem koni a nawet entuzyastycznym adoratorem Pioruna pana hrabiego, nie umię mimo to jeździć wierzchem. Moje położenie nie dozwoliło mi ćwiczyć się w tej sztuce. Nigdy jeszcze nie siedziałem na koniu.“

— „Jakto pan nigdy jeszcze w życiu nie jeździłeś wierzchem?“ — zaśmiał się głośno Ambasador, przypominając sobie dzisiejsze mistrzowskie obroty i galopy drożącego się młodzieńca.

— „Nigdy panie hrabio“ — powtórzył Anatol oblany żywszym jeszcze rumieńcem.

— „Mniejsza o to“ — odrzekł poseł z wieloznacznym uśmiechem — „mam przecież tak wielkie zaufanie do pana, iż mimo to ponawiam moją prośbę....

— „Ależ panie hrabio...“

— „Nie dręcz mię pan dłużej, spuszczam się zupełnie na ciebie, i nie waham się stawić 20.000 franków na szybkość mojego Pioruno i twoją zręczność.“

— „Możeby przynajmniej podjąć naprzód jaką próbę....“ — jąkał się dalej Anatol.

— „Próbę?... dla mnie jej nie potrzeba, pan zaś masz jeszcze przed sobą dwie noce; dopiero pojutrze rozpoczynają się wyścigi. Nie zaniedbuj tylko nocnych ćwiczeń...“

Po tych słowach pożegnał hrabia osłupiałego Anatola, i wyszedł z pokoju.

— „Nie zaniedbuj tylko nocnych ćwiczeń“ — powtórzył zagapiony młodzieniec, widząc się sam w pokoju. I biedak zaczął przecierać oczy, i bić się z myślami, aby sobie wytłumaczyć dziwne odwiedziny i dziwniejszą jeszcze propozycyę hrabiego. Wnet czuł się niewymownie szczęśliwym iż będzie mógł dosiąść Pioruna, wnet przejmował go strach na samą myśl, iż nie umiejąc jeździć wierzchem będzie tak hazardownego ważyć się kroku, wnet

znowu dręczyło go powątpiewanie czy wszystko to nie jest tylko złudzeniem lub sennem mamidłem.

Ambasador przeciwnie oddawał się niewymownej radości, a pewien zwycięztwa, przechwalał się już w klubie i gronie przyjaciół przyszłą wygraną, i zapraszał na ucztę, mającą uświetnić nowy tryumf Pioruna.

Nadszedł nareście dzień wyścigów.

Tłumy ludu wyrunęły za miasto, i czekały niecierpliwie rozpoczęcia igrzyska. Ambasador przybył na plac z uśmiechem tryumfu na ustach, z twarzą promieniejącą od radości.

Zawiadamiając lorda przeciwnika iż angielski żokej zawiódł go w oczekiwaniu, przedstawił Anatola jako człowieka, któremu powierza honor swojego Pioruna.

Biedny dependent przybył drżący i blady razem z hrabią, i stanął przy boku Pioruna. Przyzierając się bogatemu rzędowi wspaniałego rumaka, bił się z myślami, zkąd mu każdy rzemyczek wydaje się jakoś dziwnie znajomym, a przecież przysiągłby iż go nigdy nie widział ani nie miał w ręku. Uderzyła go szczególniej prześliczna trędzla, wyszywana bogato złotem. Nie wiedząc jak się ma z nią obchodzić, wstydził się zagadnąć grooma, który ustrojony w przepyszną liberyę, mierzył go ustawicznie wzrokiem pełnym osobliwszego poszanowania i jakiejś dziwnej bojaźni. Nieborak przystąpił do samego posła, i wyjawił mu swoje zakłopotanie. Hrabia parsknął serdecznem śmiechem.

— „Wybornie, wybornie!“ — zawołał biorąc się za boki — „odgrywasz pan swoją rolę do podziwienia. Gdybyś nie był tak dzielnym jeźdzcem, radziłbym ci zostać aktorem.“

Anatol zgłupiał do reszty. Widząc wokoło siebie tak liczne tłumy ludu, tak wspaniałe grono strojnych dam na trybunach, zadrżał ze strachu. Zimny pot oblał mu czoło, oczy omraczała jakaś coraz gęściejsza mgła.

W takim stanie posłyszał naraz wykrzyk:

— „Pan Anatol i Piorun!“

Wzywano go do gonitwy. Nawpół nieprzytomny pochwycił drżącą ręką za cugle, i raczej wydrapał się niż wyskoczył na siodło.

— „Popisz się pan po swojemu“ — szepnął mu groom z wiele mówiącem spojrzeniem.

Ambasador wybuchł serdecznym śmiechem, widząc z jaką niezręcznością zabiera się biedny młodzieniec do czynu. W kilku słowach opowiedział przyjaciołom poznanie się z nim, a potem krzyknął wesoło:

— „Przestańże już raz udawać, pokaż co umiesz!“

Niestety nieszczęsna ta chwila nadeszła aż nazbyt prędko. Biedny jeździec pokazał od razu całą swoją niezręczność. Zaledwie koń wyciągnął szyję i jak strzała pomknął ku mecie, zakręciła się głowa udurzonemu jeźdzcowi. Nogi wyślizły mu się z siodła, on sam poskoczył w górę, i padł nieprzytomny na ziemię.

Głośny śmiech rozległ się między publicznością, hrabia stanął jak wryty z gniewu i przerażenia.

Tymczasem podniesiono z ziemi zemdlałego. Strumienie krwi sączyły mu z głowy, pierś nosiła głębokie ślady potłuczenia.

Odwieziono go zaraz do domu i przywołano lekarza.

Przybył niebawem i hrabia, żądając wyjaśnienia dziwnej zagadki. Młodzian przyszedł do przytomności, i przypomniał jak szczerze wymawiał się od nieszczęsnej jazdy.

Zniecierpliwiony Ambasador opowiedział mu teraz w kilku słowach, w jaki sposób stał się świadkiem jego nocnych przejażdzek, i zkąd powziął ku niemu takie zaufanie.

Anatol nie chciał wierzyć własnym uszom.

— „Zapewne jakaś pomyłka, qui pro quo.“

Hrabia chciał mu postawić za świadków wszystką służbę swoją, lecz lekarz odciągnął go nagle na bok, i szepnął mu kilka słów do ucha. Chory Anatol posłyszał z tej krótkiej rozmowy jeden tylko wyraz: Somnambulizm. Tem wyjaśniła się cała zagadka tak hrabiemu jako też i jemu samemu.

Industryalizm kupiecki. Szczytem dzisiejszej bezczelności kupieckiej możnaby nazwać oburzające ogłoszenie, rozdawane temi czasy u drzwi wszystkich prawie kościołów paryskich. Jestto niewielka kartka papieru, wyobrażająca po jednej stronie w złocistym odcisku wizerunek pewnego świętego, pod którego imieniem istnieje w Paryżu bogaty magazyn towarów bławatnych. Miasto zwyczajnej korony promienistej otacza głowę świętego nadpis: *taniość* i *pewność*, a u stóp jego wiją się w ozdobnym szyku słowa: *„sukna, kattuny, płótna, damskie materye jedwabne, szale* i t. p.“ Na odwrotnej stronie karty znajduje się obok krótkiej legendy przedstawionego świętego następująca także modlitwa: „Poleciwszy się opiece tego możnego świętego, polecamy się i waszym względom zacne panie, i błagamy usilnie, abyście nie omijali naszego magazynu, którego adres wymieniony u spodu. Znajdziecie tam wszystko na wasze usługi, każda rzecz w najlepszym gatunku i w najmodniejszym guście, bo jedynym celem naszym jest sprawić wam przyjemność. Oby modlitwa nasza została wysłuchaną. Amen.“

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.**

Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.